# TYGODNIOWY PRZEGLĄD LITERACKI KOŁA • PISARZY • Z • POLSKI

Rok II. Nr.12 151 East 67 Street,New York,N.Y. 19.III.1942


## Co musi być powiedziane.

Artykuł zamieszczony przez sir Stafforda Crippsa w nowojorskim "Life", poruszający sprawę granic polsko-sowieckich musi wywołać najbardziej zdecydowany sprzeciw z polskiej strony, sprzeciw którego istotna i moralna wartość nie może być mierzona różnicą obecnej sytuacji brytyjskiego ministra i nas,wygnańców polskich,ten protest zgłaszających.

Było już nieraz i z różnych stron powiedziane, że niema Polaka, któryby dopuszczał myśl, że skutkiem tej wojny, prowadzonej jako walka z przemocą, mogłoby być nie powiększenie i umocnienie, ale uszczuplenie z którejkolwiek strony naszych granic.

Jeżeli protest polski nie jest w tej chwili żywszy dzieje się to dlatego, że w gruncie rzeczy sądzimy iż opinje sir Stafforda Crippsa mają znaczenie jedynie względne i przejściowe, zaś biologja i ideały narodu polskiego są siłą, która oparła się tysiącletnim naporom z Zachodu i Wschodu i w dalszym ciągu opierać się będzie "sir Stafford Cripps variabilis, Deus mirabilis".

Jakkolwiek też głosy nasze nie dojdą uszu wielkiego politycznego świata, zdanie nasze musi być powiedziane głośno i otwarcie, w imię przedewszystkiem wiary w wartości moralne, na które sir Stafford Cripps i politycy zbliżonych do niego poglądów wciąż się powołują i jako wyraz protestu przeciw zapożyczonej od naszych wrogów zasadzie "siły przed prawem", według której, jak tego artykuł w "Life" dowodzi gotowi byliby oni w pewnych warunkach postępować.

Jeżeli nigdy myśl o wyrzeczeniu się po tylu poniesionych ofiarach jakiejkolwiek polskiej dzielnicy nie mogła mieć do nas dostępu, to w obecnej chwili jesteśmy od niej dalsi niż kiedykolwiek i zdumiewające jest, że sir Stafford Cripps nie rozumie, że teraz właśnie nic nas nie może usposabiać do rezygnacji, że teraz szczególnie silnie odczuwamy nasze prawa oparte o zimny rachunek tego, co Polska do tej walki wniosła i wnosi, o przekonanie, że jesteśmy nietylko moralną ale i materjalną wartością w obozie sprzymierzonych.

Sposób w jaki sir Stafford Cripps wyobraża sobie naszą przyszłość i w jaki traktuje nasze prawa do polskiej ziemi - daje się też wytłumaczyć chyba jedynie niepojętym jego nieuświadomieniem o ofiarach jakie Polska dla swej wolności ale i dla sprawy sprzymierzonych poniosła, o oporze jaki cała nasza Polska najeźdźcom stawia i o cyfrach, w jakich

się wyraża nasz udział w wysiłku wojennym aljantów i stosunek tego udziału do wkładu wojennego innych państw walczących.

Prasa angielska sama zresztą potrudziła się w ostatnich dniach, aby głosom podobnym do wypowiedzi sir Stafforda dać odpowiedź i w "Nineteenth century and after" np. te zasługi Polski dla sprzymierzonych określone są przez jakże sprawiedliwą i jakże zarazem wymowną formułę, że "Jeśli ta wojna będzie wygrana to słusznym wyrokiem dziejów będzie, że P o l s k a   u r a t o w a ł a   ś w i a t".

To nie jest bynajmniej frazes i przesada i wszystko, co od września 1939 zaszło na świecie dowodzi coraz bardziej niezbicie, że Polska, pierwsza zagradzając drogę Niemcom obudziła i uratowała Europę, że gdyby ona nie oparła się Hitlerowi nie byłoby mowy o jakimkolwiek później sensownym oporze Zachodu. I co szczególnie teraz podkreślać trzeba - niewątpliwe jest że opór Polski oddał przedewszystkiem samej Rosji bezcenną historyczną usługę drugą po odmowie antyrosyjskiej współpracy z Hitlerem zbawczą usługę.

Sir Stafford Cripps, który świadomie zajął miejsce wśród ludzi, głoszących hasła wolności i ludzkości nie może też zapominać o tem, co się w Polsce dziś dzieje - o polskim męczeństwie i o polskim bohaterstwie, w którem wszystkie stany, wszystkie warstwy narodu polskiego są porównane; jeżeli wie o tem wszystkiem, czyż może przypuszczać, że Polacy znoszą te męczeństwa, aby na ciele Polski wyrąbano "strategiczną granicę Rosji".

Jeśli zaś o naszą armję chodzi, to nasze wojsko lądowe liczy według ostatnich obliczeń około 180.000 ludzi, których wartość bojowa jest uznana przez wszystkie autorytety wojskowe za najwyższą i działania jej są przedmiotem podziwu wszystkich, którzy je znają. Marynarka polska ma za sobą akty bohaterstwa i talentu wojennego, dziś już należąca do legendy tej wojny, jak też legendą już stała się odwaga i świetność polskiego lotnictwa.

Sir Stafford Cripps wie doskonale, że w lecie tego roku, natychmiast po podpisaniu paktu polsko-sowieckiego Polacy, znajdujący się w Rosji, zapominając o napaści Sowietów na Polskę o cierpieniach i krzywdach doznanych, utworzyli armję niebywałą, jedyną na świecie jako duch poświęcenia, ofiary, zapomnienia o sobie, armję całkowicie złożoną z ludzi, którzy wpółżywi wyszli z więzień sowieckich, ożywieni jedną tylko myślą dopełnienia swej ofiary do końca, aż do zupełnego zwycięzenia Niemców i wyzwolenia całej Polski. Jeśli armja ta nie jest w stanie dotychczas wziąć udziału w operacjach wojennych i co jest niewątpliwe, na losach ich zaważyć - nie jest to jak sir Stafford Cripps wie dobrze, bynajmniej winą ani polskich żołnierzy, ani naszego rządu.

Wszystkie te fakty, które przypomnieć jesteśmy zmuszeni nabierają właściwej wymowy jeśli porównamy je z urzędowo uznanemi danemi o stanie liczebnym innych armji sprzymierzonych i jeśli zdamy sobie sprawę, że wojsko nasze przedstawia męczeński kraj zagarnięty, złupiony i najokrutniej wyludniony przez wroga, że składa się ono z wyborowej młodzieży, która z narażeniem życia do naszej armji z kraju się przekradła i z ochotników emigrantów ze wszystkich części świata. Ta armja wygnańcza jest co do liczebności piątą po armjach Anglji z Dominjami, Stanów, Chin i Rosji.

Nie uważamy bynajmniej, aby wielkość wystawionej armji była jedyną miarą według której wymierzać się powinno przyszłość państw i narodów, nie sądzimy aby można było Litwie, Łotwie czy Estonji odmawiać prawa do wolności dlatego tylko, że ich synowie nie mogą niczem dobrowolnego udziału w tej wojnie zaznaczyć, nie sądzimy też aby porównanie liczebności armji gen. de Gaulle'a z ilością ludności męskiej w nieokupowanej Francji mogło umniejszać prawo wielkiego narodu francuskiego do dawnego należnego mu miejsca w świecie.

Nie myśląc tak błędnie, nie możemy przecież dopuścić tej potwornej myśli, aby właśnie naród, który tak wielki wysiłek dla wspólnej sprawy podjął, miał za to zostać wynagrodzony grabieżą swej ziemi: wspaniała, bohaterska, tak bohaterska, że to już ludziom wydaje się naturalne - armja polska jest nietylko świadectwem moralnej i biologicznej siły narodu polskiego - jest ona szczytnym dowodem wypełnienia przez Polskę ponad wszelką jej możność, do granic najwyższych ofiar jej sojuszniczej roli. W obliczu bohaterstwa tej armji, wobec cieni jej poległych - wystąpienie sir Stafforda Crippsa uznać też musimy za niedopuszczalne uchybienie sojuszowi Wielkiej Brytanji i Polski.

To,co sir Stafford Cripps nam proponuje, czemu chce patronować jest to zupełne przekreślenie wzniosłych haseł, jakie głosi Koalicja antyniemiecka, haseł w których imię narody Europy a Polska pierwsza między niemi poszły na zniszczenie swych miast, na męczeństwo swych synów,na głód i nędzę, jest to zaparcie się wiary w sprawiedliwość, której zwycięstwo zapowiadają dwaj wielcy przywódcy koalicji:prezydent Roosevelt i Churchill.

Tak jak dziś sir Stafford, wytworny przyjaciel komunizmu, rozumowali niegdyś Metternich i Talleyrand, śmiejąc się z naiwnych mrzonek uciśnionych narodów; kategorje polityczne, któremi myśli sir Stafford są te same, któremi myśleli Bismarck i carowie Wszechrosji.

I wreszcie musimy to powiedzieć, rachunek błędów i grzechów,popełnionych przez monachijskich poprzedników sir Stafforda Crippsa tak jest w samej Anglji znany, że mamy prawo żywić nieufność, aby właśnie sir Stafford był szczególnem wyczuciem rzeczywistości politycznej obdarowany i pozwalamy sobie jego projekt i marzenia, tak dla nas nieprzychylne, uważać zarazem za zgubne dla wspólnej sprawy, że urodzone z okolicznościowego oportunizmu i dla samej Anglji za katastrofalne.

Jakkolwiek bowiem wielka jest nasza miłość Ojczyzny rozumiemy dobrze, że nasze uczucia i ideały tam przestałyby mieć dla obcych wagę, gdzie zaczynałaby się istotna sprzeczność ich i naszych interesów, jeżeli też odwołujemy się do solidarności sojuszniczej to czynimy to w przeświadczeniu, że interesy Polski, Anglji i Stanów Zjednoczonych są a zwłaszcza będą wspólne, że dążenia narodu polskiego, świetna przyszłość państwa polskiego - wspierać będą znakomicie bezpieczeństwo i rozwój interesów Wielkiej Brytanji.

Sir Stafford, jak można sądzić ze znanych nam jego opinji i postępków jest jednym z tych [redacted] przekornych Anglików, którzy nie lubią pewnych rzeczy dlatego głównie, że są one umiłowaniem ich starych ciotek, napewno też lekceważy on wiele tradycji angielskiej polityki i przekonany jest, że to one właśnie spowodowały dzisiejsze trudności Imperjum.

Co do nas, to sądzimy skromnie, że zasada równowagi europejskiej w której Anglja widziała zawsze podstawę swej kontynentalnej polityki, gdyby była postawiona właściwie, gdyby snuta była przez wielkie indywidualności, gdyby opierała się o poczucie istotnych sił europejskich,gdyby po ostatniej wojnie np, nie zamykała oczu na całą nową rzeczywistość Wschodniej i Centralnej Europy - mogła,ona właśnie, zagrodzić drogę temu, co się dzisiaj dzieje.

Odrzucając też bez jakichkolwiek dyskusji - wszystkie sugestje w rodzaju tych, jakie nam sir Stafford przedłożył - czyni to Polska nietylko w swoim interesie, w poczuciu swoich praw, ale i w imię dobra innych ludów, w imię tej nowej, szlachetnej równowagi, która na nowych, zdrowych zasadach oparta, może być podstawą ładu w Europie; żądamy nietylko należnej nam całości granic ale i należnego ich zabezpieczenia, świadomi, że przecież bezpieczeństwo Rosji jest stokrotnie nietylko dzisiejszemi jej granicami zabezpieczone, ale jak tego postawa Polski wobec antysowieckich propozycji Hitlera dowiodła - na istnieniu silnej Polski też wspar-

te. I jesteśmy pewni, że nieugięte stanowisko Polski jest również wbrew różnym chimerycznym politykom angielskim - obroną Anglji przed dalszemi groźnemi doświadczeniami.

Jan Lechoń

\-

\- -

Ktokolwiek jesteś bez ojczyzny
Wstąp tu, gdzie czekam pokryjomu:
W ugornej pustce jałowizny
Będziemy razem nie mieć domu.

Kto się zapatrzył w tamte strony,
Gdzie dotąd niebo nocą ciemną
Od łuny drży nieugaszonej,
Niech w noc tę głębiej idzie ze mną.

Komu się śnią włóczone kości
Przez psy na polach, gdzie rozpaczą
Brzozy odarte jeszcze płaczą,
Niech mi to wyzna w samotności.

Bo z mgieł jesiennych, przez ścierniska,
W badylach, perzu, kłębem pnączy
Szept jakiś z trudem się przeciska
I w samo serce, w krew się sączy.

Bo niema ziemi wybieranej,
Jest tylko ziemia przeznaczona,
Ze wszystkich bogactw - cztery ściany,
Z całego świata - tamta strona.

Kazimierz Wierzyński

## M ó j p i e r w s z y r o k w A m e r y c e.

1.

Na powyższy temat mówiłem niedawno w Klubie Polskim Uniwersytetu Columbia. Było to jakgdyby poufne sprawozdanie w kółku rodzinnym. Większość bowiem słuchaczy składała się z tej sympatycznej młodzieży, którą nasz wypróbowany przyjaciel, profesor Coleman, potrafił tak pięknie zapalić do studjów języka i literatury polskiej. Ta młodzież amerykańska polskiego pochodzenia była pierwszym elementem, z którym rok temu zbliżyłem się w Ameryce - jako pisarz. Nic dziwnego więc, że z takiem audytorjum chętnie podzieliłem się spostrzeżeniami, poczynionemi, zresztą dość powierzchownie, w ciągu mego pierwszego roku życia na tej gościnnej ziemi. Na wstępie musiałem bronić mojej niekompetencji i usprawiedliwiać

moją ignorancję. Poza bardzo pobieżną znajomością Nowego Yorku i okolic właściwie nic z Ameryki nie widziałem. A każdy rozsądny Amerykanin przestrzegał mnie przed wydawaniem opinji o tym pięknym i przerozległym kraju na podstawie, nawet dokładniejszej niż moja, znajomości Nowego Yorku. Toteż trudno mi odpowiadać na często zadawane pytanie: "How do you like America?" Pytanie to jest żenujące nawet wówczas, gdy widziało się o wiele więcej ode mnie. Jest to bowiem pytanie retoryczne. My, wojenni uchodźcy w tym kraju, który tak wielkodusznie nas przyjął, jesteśmy jak rozbitek na pełnym oceanie, jak rozbitek, któremu miłosierny los zsyła ratunek w postaci szlachetnego rybaka. Nasz okręt uległ zniszczeniu na skutek burzy dziejowej. Rozbitek poszedłby na dno, gdyby nie ów szlachetny rybak, który ulitował się nad tonącym, podpłynął doń w swej barce, zadał mu szereg pytań, n.p.: "Czy jest pan anarchistą, a jeżeli tak, to - dlaczego? Czy jest pan dziewczyną lekkich obyczajów, a jeżeli tak, to - dlaczego? następnie po otrzymaniu wymaganej odpowiedzi, rybak, na pełnem morzu, zrobił tonącemu odciski palców, poczem rzucił mu koło ratunkowe i wciągnął do swojej barki. Dowiózł go do brzegu, zaprosił do swego domu, nakarmił, przyodział, ogrzał i dał ciepłe posłanie. Nazajutrz, gdy szczęśliwy rozbitek już nieco odpoczął, gospodarz pokazał mu swoją córkę i wziąwszy go na bok zapytał tryumfalnie: "Jak ona się panu podoba?" Cóż na takie pytanie ma odpowiedzieć biedny rozbitek? Możliwa jest tylko jedna odpowiedź, choćby córka była kulawa i garbata.

Pytać się uchodźcy jak mu się podoba kraj, który go przygarnął, jest w mojem mniemaniu taką samą niedelikatnością, co negatywna odpowiedź tego uchodźcy. Na wszystko bowiem, co mu się nie podoba, musi zamknąć oczy, nie chcąc ryzykować opinji czarnego niewdzięcznika. Te oczy będzie mógł otworzyć dopiero po otrzymaniu praw obywatelskich tego kraju lub też w chwili, gdy przestanie korzystać z jego gościny. Póki jest gościem winien zachowywać się jak gość, któremu pewnych rzeczy poprostu nie wypada widzieć. /Marian Anderson bardzo pięknie śpiewa./

Moje spostrzeżenia i doświadczenia amerykańskie są nad wyraz ubogie. Ubóstwo to wynika z naszej sytuacji uchodźczej. Nie przyjechałem tutaj jako wolny turysta, który ma czas, środki i t.zw. głowę do dokładnego zwiedzenia nowego i olbrzymiego terenu, ani jako pisarz, który postawił sobie za cel opisanie Ameryki. Wprost przeciwnie. Tem tłumaczy się fakt, że tak mało widziałem. W latach dawniejszych, gdy miałem mniej ustaloną egzystencję we własnym kraju, nieraz wyjeżdżałem zagranicę i w ciągu kilku tygodni poznawałem obcy kraj tak, iż mogłem o nim pisać. Znam Manhattan gorzej niż n.p. Jugosławję, w której byłem przez parę zaledwie tygodni, nie dlatego, że Manhattan jest trudniejszym do poznania terenem, lecz dlatego, że po Jugosławji podróżowałem w celu opisania jej. Nic innego podówczas nie robiłem od rana do późnej nocy, tylko zwiedzałem i zbierałem informacje, a krótkość przeznaczonego na to czasu była raczej okolicznością sprzyjającą. Co innego, gdy się przyjeżdża jako ofiara wojny, na czas niewiadomy, może na zawsze. Wtedy krajoznastwo odkłada się na później, zwłaszcza gdy kraj jest tak wielki i gdy na stare lata trzeba w nim zaczynać od początku nowe życie. I nie wolno również zapominać o tem, że każdy z uchodźców prowadzi tutaj podwójne życie: jest jednocześnie tu i daleko, daleko za oceanem. Niechaj gościnni gospodarze nie biorą nam tego za złe. Więcej: przewiduję, że w miarę przeciągania się tej wojny u wielu z nas, choćby nawet zostali obywatelami amerykańskimi, to podwójne życie przybierze charakter bardziej gwałtowny i u niejednego z nas może zakończyć się tragicznie. Nie zapominajmy również, że znaleźliśmy się tutaj na skutek wykolejenia. Europa, a przynajmniej jej nieszczęsny kontynent, wykoleił się w r.1940. Na tę ziemię wolności przybywali nieraz wykolejeńcy, ale byli to przeważnie wykolejeńcy z własnej winy, na własny rachunek, a nie na rachunek historji. Dlatego łatwiej zapuszczali korzenie w tej gościnnej glebie. Z nami - inaczej,

chociaż w każdem wykolejeniu dziejowem tkwi cząstka naszej własnej, indywidualnej winy. Zdaje się, że poraz pierwszy Ameryka stała się terenem emigracji politycznej na wielką skalę. Oblicze tej emigracji z natury rzeczy musi być nieco inne, niż emigracji zarobkowej i dobrowolnej. Z nas, licznych europejskich pisarzy-emigrantów, nikt nie przyjechał tutaj celem poprawy własnego, materjalnego bytu. Każdy natomiast przybył tu, aby ocalić swą twórczą swobodę, twórczą godność, tak brutalnie deptaną dziś na ziemiach, z których ta twórczość kiełkuje. Uciekliśmy z Europy nie tyle ze strachu przed fizyczną niedolą, przed głodem materjalnym, ile od głodu duszy, od poniewierki umysłu, od wykoszlawienia charakteru. I dlatego czujemy i winniśmy manifestować głęboką wdzięczność dla kraju, w którym myśl i twórczość ludzka nietylko jest wolna, lecz wówczas dopiero cieszy się szacunkiem gdy jest wolna. Głęboką cześć i wielkie uwielbienie mam dla twórców tej atmosfery, w której żaden poeta, żaden pisarz nie musi być dworakiem. Pisarz, któryby z własnej i nieprzymuszonej woli usiłował nim być, straciłby mir nietylko u nieistniejącego zresztą "dworu", ale w całym oświeconym narodzie amerykańskim, który wydał Walta Whitmana, a wydał go nie na śmierć głodową, lecz na radość światowej poezji i demokracji.

I dlatego na pytanie: "How do you like America?" zwykłem odpowiadać: "Jestem pisarzem". A ludzie domyślni rozumieją, co przez to chciałem powiedzieć. /Ciąg dalszy nastąpi./

Józef Wittlin

## M g ł a .

Jaka noc widziadlana! Wciąż trąbią okręty
Wołają po Hudsonie i gwiżdżą zdaleka,
Nad mgłę wyskoczył księżyc i gna niepojęty,
Bezbarwną za chmurami poświatę rozwleka.

Czasem gwiazdy wychyną i nikną odrazu
W akwarjalnem, topielnem rzednące uśpieniu,
Niema ziemi pod stopą, niema krajobrazu,
Coś minęło, spoczęło na dnie, we wspomnieniu.

Tylko noc, jak sobowtór, nas wabi zwodniczo
Nieuchwytną materją, bezcielesnym śniegiem
I kusi nas i wiedzie w tę mgłę tajemniczą
Aż do zguby przepastnej, ukrytej pod brzegiem.

Na nic nam światła. Księżyc już uciekł w obłoki,
Mapa gwiazd pobłądziła i wróży inaczej.
Trąbcie głośniej, okręty, śród pustki głębokiej,
To jedno mgłę rozprasza, to jedno coś znaczy.

Kazimierz Wierzyński

## O j c i e c   J u s t y n.

Kiedy pewnej niedzieli - odwiedzając przyjaciół w Nowej Anglji - wszedłem do ich domu, zastałem całą rodzinę, skupioną przed odbiornikiem radjowym. Z głośnika padały słowa pełne spokoju i powagi, doskonałe zdrowym ujęciem chrześcijańskiej filozofji życia, nie obciążone balastem teorji, tak częstej w stereotypowych kazaniach słyszanych z ambony i wygłaszane piękną klasyczną polszczyzną. Była to "Godzina Różańcowa" Ojca Justyna. Od moich gospodarzy, którzy od 17-tu lat są wiernymi słuchaczami tej "Godziny", dowiedziałem się szeregu szczegółów zarówno odnośnie audycji jak i jej autora, najpopularniejszego polskiego mówcy radjowego w Ameryce. Przemówienia jego, nadawane przez 19 radjostacji amerykańskich co niedzieli, słyszalne niemal w całych Stanach Zjednoczonych i Kanadzie - poruszają wszystkie problemy interesujące Polonję, od religijno-społecznych do aktualności politycznej dnia i cieszą się olbrzymim powodzeniem nawet u ludzi, którzy nie zaliczają się do gorliwych i praktykujących katolików.

Kilka dni temu odwiedziłem go w Buffalo. W dużej, klasztornej sali bibljotecznej pracował nad swoim niedzielnym przemówieniem, otoczony stosami listów, napływających z całej Ameryki, listów, których autorzy spowiadali mu się z pełnym zaufaniem z trosk dnia codziennego,prosząc o radę i pomoc. Dla każdego z nich musi znaleść chwilę w swoim przemówieniu - każdemu z nich musi i chce odpowiedzieć.

-Urodziłem się w Ameryce, w Pennsylvanji - mówi w trakcie rozmowy O.Justyn - i po polsku tu się uczyłem. W szkołach niemieckich w Pennsylvanji zabroniono nam używać innego prócz niemieckiego języka. W tajemnicy przed moimi wychowawcami udało mi się otrzymać Trylogję Sienkiewicza. Wczytywałem się w nią co wieczora. Były to pierwsze książki,które mnie nauczyły czuć i myśleć po polsku. Jestem szczerze wdzięczny moim Niemcom za nieświadome ale skuteczne skierowanie mnie na tę drogę, bo książka polska, jedyna wówczas broń przeciwko wynaradawianiu się Polaków w środowiskach niemieckich - dała mi możność poznania ogromu polskiej literatury i kultury, mało podówczas znanej w Ameryce i zawsze niedocenianej. Dziś - jak pan widzi - bibljoteka moja nieco wzrosła. Jest w niej ponad 8.000 tomów i większość z nich - to polskie.

O swojej działalności ani o jej wynikach nie wspominał. Już przy pierwszym pytaniu wyczułem jakby zażenowanie. Trudno mu było mówić o własnym dziele. Zato opowiadał mi o niem jeden z najwybitniejszych polskich dziennikarzy katolickich - ukrywający się, jak O.Justyn, pod skromnym habitem franciszkańskim - O.Marjan, który tu przybył z Polski po wojnie i znalazł gościnę u O.Justyna.

O.Justyn Figas, dr.teologji, powrócił do Ameryki po ukończeniu wyższych studjów w Rzymie i od roku 1923 przez 16 lat bez przerwy piastował urząd prowincjała zakonu O.O.Franciszkanów. Przemówienia swoje przed mikrofonem rozpoczął w r.1925 a olbrzymia ich popularność, zwiększająca się silnie liczba słuchaczy i rozmiary akcji charytatywnej "Godziny Różańcowej" doprowadziły do konieczności stworzenia jedynego polskiego "net-worku", 19-stacyjnej sieci radjowej.

Jako zakonnik, związany ślubem ubóstwa, O.Justyn pieniędzy nie posiada. Dobrowolne datki słuchaczy - a jest ich stałych i zarejestrowanych ponad 180.000 rodzin - idą wyłącznie na utrzymanie "Godziny Różańcowej" i akcję charytatywną, której główną wytyczną jest budowa polskich szkół. W r.1925 zakłada O.Justyn kosztem 300.000 dolarów kolegjum /High School/ w Ethol Springs pod Buffalo, w którym kształci się około 100 ubogich studentów polskich. Na utrzymanie kolegjum organizuje towarzystwo charytatywne O.Justyna "Towarzystwo Driverów" doroczny bal maskowy, na który przybywa przeciętnie 12.000 osób. W r.1936 buduje polski kaznodzieja radjowy na 600-akrowym gruncie wielkie nowoczesne seminarjum dla kle-

ryków kosztem 350.000 dolarów i umieszcza w nim własną bogatą bibljotekę polską i muzeum.

W r.1939 O.Justyn, odznaczony w międzyczasie przez Rząd Polski orderem "Polonia Restituta", udaje się jako delegat duchowieństwa polskiego do Europy, zwiedza obozy internowanych Polaków i środowiska uchodźcze, aby po powrocie zorganizować stałą pomoc, płynącą odtąd do Polski, Rumunji, Węgier, Jugosławji, Włoch, Francji, Portugalji i Afryki.

-

Wczoraj znów słuchałem audycji O.Justyna. I po jej wysłuchaniu odpowiedziałem sobie na długo dręczące mnie pytanie, na czym polega legendarna popularność tego kaznodziei polskiego, który potrafi utrzymać przy głośniku 180.000 rodzin, z oddali kierować ich życiem, ich stosunkiem do rzeczywistości i stać się ich dobrym, mądrym przyjacielem. Odpowiedź jest nietrudna: na subtelnej umiejętności psychologicznej, z jaką ów doktór uniwersytetu rzymskiego umie operować językiem i pojęciami ludzi prostych i na praktycznym, przykładowym sugerowaniu stosowania zasad filozofji chrześcijańskiej w życiu codziennym. Czyni to w sposób dyskretny i nie narzucający się patosem ambony. Wnioski wyciąga już sam słuchacz. I wierząc sobie samemu - wierzy O.Justynowi.

Jerzy Tepa

## T i m e b o m b. Powieść

Ciąg dalszy.

-Więc ostatecznie zdaniem pana kolegi my teraz nie możemy spać, bo słysząc nad sobą samoloty przeżywamy ten sam strach, który przeżyliśmy, jak spadła ta bomba w ogrodzie? Tak?

-Od samego początku mówię to samo.

-Nie. Dopiero teraz powiedział kolega wyraźnie, że to ten sam strach co wtedy...

-I teraz zgadza się pan profesor ze mną?

-Zgodziłbym się w zupełności, gdyby nie jeden mały szczegół - ciągnął profesor powoli. - Ja żadnego strachu dziś nie przeżyłem. Ani ja, ani żadna z pielęgniarek. Ani podczas wszystkich bomb, ani podczas tej ostatniej. Natychmiast zabraliśmy się do kończenia operacji przy latarkach kieszonkowych.

Cios był dobrze wymierzony, pomyślał z zadowoleniem, bo usłyszał że asystent zakłada nogę na nogę.

-Ten brak strachu tak mnie zdziwił, że chciałem właśnie prosić pana kolegę o wyjaśnienie -mówił dalej- a pan udowodnił mi, że bałem się okropnie! Tak, że jeszcze teraz nie mogę usnąć!

Biedny asystent był rzeczywiście zbity z tropu. Całe wnioskowanie oparł na tym strachu. A jeżeli strachu nie było, wnioskowanie upadało.

-Więc natychmiast po wybuchu zabrał się pan profesor do operacji? - upewnił się.

-Wcale nie natychmiast.- Profesor, choć chętnie krytykował psychologję asystenta, nie posunąłby się nigdy do fałszowania faktów.- Ja nie przeczę, że pewien wstrząs przeżyłem. Zauważyłem wyraźne zmiany w oddechu i w tętnie. Zdaje się nawet, że na chwilę straciłem przytomność. Ale nie zauważyłem żadnego strachu, chęci ucieczki czy paniki, żadnych "odruchów emocjonalnych", jak pan to nazywa. A kiedy wstałem i zabrałem się do operacji,byłem naprawdę zdziwiony zupełnym spokojem, który wrócił wszystkim, i mnie i pielęgniarkom.

Asystentowi zaświtała słaba nadzieja.

-Gdy wstał pan... Więc pan profesor leżał na ziemi?
-Tak, ale to nie miało nic wspólnego ze strachem.
-A jak pan profesor znalazł się na ziemi? - Profesor zwlekał z odpowiedzią, więc asystent pytał dalej. -Słysząc gwizd bomby padł pan na ziemię dla bezpieczeństwa?
-Czy ja wiem... Może... Bo pamiętam, że jeszcze krzyknąłem, żeby wszyscy padli. Ale sam, o ile pamiętam, już nie zdążyłem.
-Zaraz. To jest niejasne. Jeżeli pan profesor nie zdążył upaść,to jak znalazł się na ziemi?
-Szczerze mówiąc to...nie wiem jak. Ale zaręczam, że bez strachu. Kiedy wróciła mi świadomość, stwierdziłem, że byłem na ziemi.
-Może to siła wybuchu rzuciła pana na ziemię - dopytywał się asystent, co raz bardziej pewny siebie.
-Sam w pierwszej chwili tak myślałem, bo kiedy podniosłem się, byłem na środku pokoju i musiałem po ciemku zrobić dobrych parę kroków,żeby wrócić do stołu operacyjnego. Ale z drugiej strony nie mogła to być siła wybuchu, bo tu nawet szyby nie wyleciały.
Profesor usłyszał ze zdziwieniem, że teraz asystent głośno bębnił palcami, czego nigdy przedtem nie robił.
-Co? - zapytał nieco zaniepokojony. - Przecie trudno utratę przytomności nazwać strachem. Widocznie odszedłem parę kroków, zanim straciłem przytomność i znalazłem się na ziemi.
-Wątpię - powiedział krótko asystent.
-A co?
-Raczej odwrotnie.
-Jakto odwrotnie?
-Najpierw znalazł się pan profesor na ziemi, a potem zrobił tych parę kroków.
-W jaki sposób?
-Na czworakach.
Profesorowi zrobiło się trochę nieprzyjemnie.
-Z czego pan kolega wnosi?
-Z tego, że pan profesor wspaniale potwierdził moje przypuszczenie - oświadczył asystent, z trudem ukrywając radość.
-Jakto? Przecie upadek na ziemię, a nawet ewentualnie...ewentualnie tych parę kroków na czworakach, jak pan powiada, nie dowodzi jeszcze strachu! Strachem tego nikt nie nazwie, bo powtarzam,że strachu nie czułem!
-Co pan czuł, panie profesorze, i jak pan to nazwie, to jest obojętne. Przecie behavioryzm interesuje się tylko zachowaniem się człowieka, a nie bawi się w jakieś introspekcje. Psa nikt nie pyta, co on czuje a behavioryzm stosuje te same metody badania do ludzi co do zwierząt.
-Więc co ten behavioryzm zobaczy w moim zachowaniu? -
-Piękny przykład ożycia starego, dawno zapomnianego odruchu! Dziecko, które zaczyna już chodzić, pada na ziemię, gdy się przestraszy i ucieka na czworakach, bo w tej pozycji czuje się pewniejsze. I tym właśnie odruchem odpowiedział organizm pana profesora na huk i zachwianie punktu oparcia. Ożył teraz odruch pochodzący z czasów, kiedy dziecko jeszcze nie mówi, i dlatego też nie był ubrany w słowa, więc był nieświadomy. A gdy raz ożył, zjawia się teraz przy każdym silniejszym huku jako mimowolne kulenie się na kanapie.
Profesor długo nie odpowiadał a nawet przestał bębnić palcami,co było nieomylnym znakiem kapitulacji.
-Myślałem, że na stare lata odkryłem w sobie bohatera, a okazało się, że wiałem na czworakach jako przestraszone niemowlę - westchnął smutno i zamilkł.
Asystent był zanadto przejęty swoją teorją, żeby miał cieszyć się zwycięstwem. Jednym zamachem załatwił się też z tym dziwnym uspokojeniem profesora, gdy wrócił do operacji. Przecie w człowieku tworzą się

z odruchów nawyki, a nawyki grupują się w pewne zbiory, układy nawyków, "habit systems", jak je nazywa Watson, i nie raz w jednym człowieku mieszczą się nawet skrajnie przeciwne grupy nawyków. Ten sam człowiek jest raz sumiennym i punktualnym pracownikiem, a drugi raz nieodpowiedzialnym hulaką, zależnie od bodźca, od sytuacji, która ożywia odpowiedni układ nawyków. Dzwonek na Anioł Pański przerywa pracę żniwiarzy i na chwilę ożywia w nich zbiór nawyków religijnych. Gdy więc przed profesorem zjawił się nowy bodziec - pacjent na stole operacyjnym, przestał działać tamten zbiór odruchów niemowlęcia, a zjawiły się odruchy chirurga. One łączą się z odruchem całkowitego skupienia się na operacji i stąd ten spokój i brak reakcji na rzeczy uboczne, na bomby.

Profesor nie odpowiadał, więc asystent ciągnął dalej.

-Zupełnie to samo zjawisko zaszło w pielęgniarkach. Bodźcem, wywołującym w nich zbiór odruchów zawodowych, był właśnie profesor, spokojnie pochylony nad pacjentem. Czy pan profesor ma jeszcze jakie zastrzeżenia? - zakończył, pewny swego zwycięstwa. Profesor ocknął się z głębokiego zamyślenia.

-Co?... Czy mam jakie zastrzeżenia? Nie. Owszem. To trzyma się kupy. - Asystent czekał jeszcze chwilę, ale profesor zamilkł znowu.

-Zmiażdżyłem go - pomyślał. Może pierwszy raz od czasu kiedy prowadzili takie dyskusje, profesor zamilkł wobec braku zastrzeżeń.

Asystent załatwiwszy się ze strachem, przeszedł do odwagi. Nie jest ona brakiem strachu. Odważny żołnierz też boi się. Odruchów dziecińства nic nie wytępi. Więc czym jest odwaga? Opanowaniem tych odruchów? Co to znaczy? To znaczy - namyślał się asystent - wytworzeniem innych odruchów warunkowych, bardziej celowych, które zastąpią tamte. Żołnierz padłby w tym wypadku także, ale padłby pod stół, żeby zmniejszyć niebezpieczeństwo, a nie jak profesor, który odszedł od stołu na środek pokoju. I żołnierz nie straciłby przytomności, tylko śledziłby niebezpieczeństwo, żeby mu przeciwdziałać. Więc zamiast odruchu ucieczki, który jak widzieliśmy przychodzi poniżej poziomu słownego, pełna świadomość i gotowość przeciwdziałania. W tem leży istota tak zwanej odwagi.

Profesor w dalszym ciągu nie odpowiadał. Bębnienie palcami ustało zupełnie. Nawet przestał kulić się na kanapie, choć znowu zaczęły gwizdać bomby.

-Opanował pan profesor odruchy zewnętrzne - uśmiechnął się asystent - ale nie opanuje emocjonalnych. Mięśnie gładkie i gruczoły dokrewne odpowiadają wciąż na każdą pobudkę i dlatego my nie możemy zasnąć, a sanitarjusze na dworze tulą się co chwilę do ziemi.

Jakby na potwierdzenie tych słów rozległy się ostre gwizdy serji bomb zapalających. Ale odpowiedział im głośny wybuch śmiechu sanitarjuszy na dworze. Asystent założył nogę na nogę, gotując się na nowy atak profesora. Rozbieżność między teorją a praktyką dawała mu nowe pole. Profesor jednak nie drgnął nawet. Asystent pochylił się nad nim i usłyszał ciche ale wyraźne chrapanie. /Dalszy ciąg nastąpi/.

Antoni Cwojdziński